

PIERWSZY BRZOSOWY KRZYŻ

W swoim życiu widział wiele. Doświadczenia nabyte przez niego w ciągu prawie dziewięćdziesięciu lat starczyłyby na kilka życiorysów. Wśród tych licznych przeżyć jest jedno szczególne. Obrazy tej historii przesuwają się przed jego oczami „jak w kinie”. Teofil Rubasiński (do 1942 r. Dolata) jako przymusowy robotnik Bauzugu nr 2005 należał do pierwszych odkrywców Zbrodni Katyńskiej. Oto jego opowieść.

Pociąg remontowy Bauzug nr 2005 utworzono w czerwcu 1941 r. Był jedną z wielu tego typu jednostek działających na wschodzie, na terenach zajętych przez wojska niemieckie. Wynajęty przez Wehrmacht od firmy ze specjalistycznymi uprawnieniami na remonty kolejowe, Bauzug nr 2005 był przeznaczony głównie do budowy rozjazdów i zwrotnic. W wyznaczonych miejscach pracownicy pociągu przecinali tory i wstawiali potrzebne rozwidlenia. Pociąg zazwyczaj znajdował się w bezpośredniej bliskości frontu.

Kierownikiem pociągu był inż. Josef Zauner, załogę niemiecką stanowiło kilku pracowników oraz dwie kucharki, razem dwanaście osób. Wszyscy pochodzili z Bawarii. Zdecydowaną większość brygady stanowili Polacy, zmuszeni do tej pracy i nazywani „pomocnikami pracownika kolejowego”. Było ich 42. Pochodzili głównie z Wielkopolski i dlatego dobrze znali język niemiecki. Każdy polski robotnik otrzymał numer identyfikacyjny.

Wśród Polaków znalazł się Teofil Dolata, urodzony w Bytkowie k. Poznania w 1922 r. Był synem kowala kolejowego i należał do grona najmłodszych robotników pociągu. Decyzja Niemców o jego zatrudnieniu nie była przypadkowa. Związany od dzieciństwa z koleją młody Teofil był dla okupanta człowiekiem przydatnym. Zimą z 1940 na 1941 r. do jego rodzinnego domu przyszli nocą niemieccy żandarmi. Zabrali ojca, brata oraz Teofila. Zaciągnęli ich do pracy przy odśnieżaniu torów na trasie Krzyż – Poznań. Przed planowaną Operacją Barbarossa miało to ułatwić przerzut sprzętu i wojska na wschód. Transporty poszły, śnieg stopniał, ale Teofila Dolatę już z kolei nie wypuścili. Otrzymał skierowanie do dyrekcji kolei w Poznaniu. Tam dowiedział się, że będzie pracować w pociągu remontowym nr Bauzug 2005.

Pociąg przyjechał do Kobylnicy (stacja na trasie Poznań – Gniezno) z Monachium. W Kobylnicy czekał na skompletowanie pracowników. Teofil Dolata dostał numer 41. Wszyscy zatrudnieni musieli przejść odpowiednie badania lekarskie, dano im także zastrzyki o nieznanym działaniu. Wśród Polaków krążyły pogłoski, że miały one powodować obniżenie popędu płciowego. Skład pociągu stanowiły trzy wagony towarowe ze specjalistycznym sprzętem, niezbędnym do wykonywania wszelkich kolejowych prac remontowych oraz wagony osobowe, służące pracownikom za mieszkanie, w sumie siedem wagonów.

W grudniu 1941 r. Bauzug nr 2005 wyruszył z Kobylnicy na front, za żołnierzami. Mijając Toruń, Olsztyn, Grodno, dotarł do Mołodeczna, które opuścił 6 stycznia 1942 r., kierując się na trasę Mińsk – Orsza i dalej w kierunku Smoleńska. W tym czasie front znajdował się w okolicy Wiaźmy. Pociąg dotarł do stacji Stare Batogi, położonej między Smoleńskiem a Orszą. Niedaleko krzyżowała się trasa kolejowa Smoleńsk – Witebsk. Najbliższą stacją na tej linii było Gniezdowo. Bauzug nr 2005 stanął na środku łuku torów łączących stacje Stare

Batogi z Gniezdowem. W tej okolicy jego załoga miała spędzić więcej czasu, a jej zadanie polegało na wstawieniu zwrotnicy do istniejących już na tym odcinku torów. Stąd miało pójść ich rozwidlenie prowadzące do lasu. W lesie znajdowało się ustronne sanatorium NKWD, które teraz szykowano na przyszłą kwatery Hitlera. Z Huty Batory nadszedł transport z kilkoma wagonami szyn (napisy świadczące o ich pochodzeniu są widoczne do dziś). Pracownicy Bauzugu zajmowali się tylko budową zwrotnicy, zakładanie torów należało do kogo innego.

Praca, do której zostali zatrudnieni Polacy, choć przymusowa, nie była niewolnicza. Robotnicy (z racji nieustannego zagrożenia w strefie przyfrontowej) otrzymywali wyposażenie niemieckiego żołnierza frontowego. Byli dobrze traktowani. Wszyscy pracownicy Bauzugu byli katolikami. Polacy i Niemcy wspólnie obchodzili święta kościelne.

Teofil Dolata pracował w kuźni. Zgodnie ze swoistą logiką niemieckich pracodawców, według której syn rzemieślnika musi znać zawód wykonywany przez ojca, został kowalem kolejowym. Do pomocy przydzielono mu młodego Niemca o imieniu Peter. Razem z nim w dymanej kuźni połowej produkowali i ostrzyli kilofy oraz inne narzędzia. Przerabiali także rozstaw szyn, by pasował do typu torów sowieckich. Było to na przedwiośniu, pewnie w marcu. W wagonie towarowym pełniącym funkcję kuźni było pełno dymu. Wyszli na zewnątrz. Reszta załogi przebywała w terenie. Wtem do pracujących na dworze kowali podeszła sześćdziesięcioparoletnia kobieta. To spotkanie nie zapowiadało niczego nowego, niczego niespodziewanego. Miejscowi Rosjanie, szczególnie kobiety i dzieci, wiedząc o Polakach pracujących przy pociągu, często przychodzili, prosząc o coś do jedzenia. Kobieta odezwała się po polsku. Była to Polka z Brześcia, Kozłowska, żona Rosjanina, listonosza. Po krótkiej rozmowie zapytała Teofila Dolatę, czy wie, że 200 m od miejsca, w którym się znajdowali, w lesie pochowani są polscy oficerowie pomordowani przez NKWD. Użyła sformułowania „trzy i pół tysiąca waszych”. Wiadomość o tysiącach wywołała śmiech. Ta reakcja wzbudziła zainteresowanie niemieckiego pomocnika. Polak zrelacjonował treść rozmowy z miejscową kobietą. Śmiały się razem. „Nie martw się – mówił Peter – wasi oficerowie są w oflagach. Jak wygramy wojnę, to wszyscy wrócą do domu”.

Drugiego dnia sytuacja się powtórzyła. Kowale pracowali na dworze, reszta pracowała gdzieś w terenie. I znów przysłała ta kobieta. Tym razem w ręku niosła oficerską czapkę. Czarny otok wskazywał, że należała do porucznika piechoty. W środku nazwisko: Kaczmarek (lub Kaczmarek) z Sokala (lub Włodzimierza). Skonfundowany Dolata spytał Petera: „Co mam z tym zrobić?”. „Zanieś do szefa” – usłyszał w odpowiedzi. Na widok czapki oficerskiej kierownik pociągu inż. Zauner powiedział, że był na stacji w Gniezdowie, gdzie rosyjski kierownik stacji poinformował go o tym, że do lasu przywozili skazańców.

Była sobota. Gdy na froncie nie toczyły się walki, był to dzień wolny od pracy. Teofil Dolata razem ze współlokatorem Janem Wachowiakiem umówili się, że pójdą do lasu, żeby sprawdzić wieści zasłyszane od kobiety i kierownika stacji w Gniezdowie. Do lasu weszli od strony tzw. Sofijki, w miejscu, gdzie znajdował się ładny, na wpół drewniany, na wpół murywany budynek wchodzący w skład kompleksu sanatoryjnego NKWD. To wejście od drogi Smoleńsk – Orsza, gdzie las był ogrodzony wysokim płotem, nie było wejściem głównym. Szybko natrafili na widoczne groby. Użyli wziętych ze sobą kilofów i łopat. Ziemia była jeszcze zmarznięta. Odkopali mundury oficerskie koloru niebieskiego, podobno rumuńskie. To nie ci. Nieopodal zobaczyli jakiegoś starego człowieka, miejscowego Rosjanina [Parfenija Kisielewa]. Zdecydowanym krokiem podeszli do niego i poprosili o pokazanie grobów polskich oficerów zamordowanych przez NKWD. Mężczyzna liczył, że za informacje dostanie papierosa. Zaprowadził ich...

Oficerowie leżeli płytko, twarzą do dołu. Ich ciała jeszcze nie zgniły. Z tyłu głowy widać było otwory, ręce związane drutem. Teofil i Jan kopali aż do momentu, gdy zobaczyli polskie pagony. Odkryli ciała majora i kapitana. Leżeli obok siebie. Później Teofil wielokrotnie widział zabitych na froncie, to była wojenna codzienność. A jednak widok polskich oficerów zabitych strzałem w tył głowy spowodował, że łzy same napływały im do oczu. Postawili pierwszy brzozyowy krzyż. Następnego dnia, w niedzielę, w to samo miejsce przyszła większa grupa polskich pracowników remontowych.

Załoga polskich robotników Bauzugu nr 2005 – jak wspomina Rubasiński – podzielona była na dwa obozy: starszych i młodszych. Podział nie wynikał jedynie z różnicy wieku, odzwierciedlał rzeczywisty konflikt pokoleniowy. Starsi w II Rzeczypospolitej zaznali biedy, mieli problemy ze znalezieniem pracy. Stąd ich sympatia do Rosji Sowieckiej, gdzie każdy miał pracę. Młodszy nie podzielali tych sympatii. Teofil Dolata przed wojną pracował w Polskich Zakładach Lotniczych w Rzeszowie, zarabiając więcej niż jego ojciec. Ci starsi, którzy wierzyli w Rosję jak w Boga, nie mogli uwierzyć w opowieści o oficerskich grobach. Po tygodniu uwierzyli. Na miejscu zbrodni postawiono drugi krzyż. Niemcy oficjalnie poinformowali polski personel o odnalezieniu ciał pomordowanych polskich oficerów.

Praca na łuku kolejowym łączącym Stare Batogi z Gniezdowem została zakończona. Bauzug nr 2005 wkrótce wyjechał za Smoleńsk, posuwając się za frontem w odległości 10–20 km. Czasem dosięgały go pociski artyleryjskie. Prawdziwą jednak zmurą były kukuruźniki, jednosilnikowe samoloty rosyjskie, nadlatujące niespodziewanie na wyłączonym silniku. Skutkiem tych nalotów była śmierć kilku polskich członków załogi remontowej. Zabitych chowano przy torach. W pochówkach brali udział także Niemcy.

Wkrótce Teofil Dolata uciekł z Bauzugu 2005. Jak relacjonuje, nie chciał się przyczyniać do zwycięstwa hitlerowców. Po licznych perypetiach znalazł schronienie w domu zakonnym Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi w Pustelniku pod Warszawą. Ze zgromadzeniem łączyły go trzy lata nauki w szkole powszechnej w Szamotułach, którą prowadziły zakonnice. Siostry były bodaj pierwszymi osobami, którym Dolata opowiedział o mordzie dokonany przez Sowietów na polskich oficerach w Lesie Katyńskim. Informację o tym, co widział ukrywający się w domu zakonnym przymusowy robotnik kolejowy, siostry przekazały dalej, do Armii Krajowej. Po tygodniu w pomieszczeniu na strychu, które zajmował Teofil, pojawili się dwaj żołnierze AK: Redlich i Kowalski. O Dolacie wiedzieli już wszystko. Powiedzieli: „Jeżeli chcesz coś dla Polski zrobić, musisz zmienić nazwisko”. Zrobili mu zdjęcie. Po dwóch tygodniach przyszli ponownie. Było Boże Narodzenie 1942 r. Przynieśli kenkartę na nazwisko Władysław Kaczmarek. Tego samego dnia Teofil Dolata/Władysław Kaczmarek złożył przysięgę na ręce por. Kowalskiego. Do dziś uważa, że do Armii Krajowej został przyjęty z powodu tego, co widział pod Smoleńskiem. Zatrudniono go w „Fabryce papy i izolacji braci Balińskich” w Pustelniku. Działalność zakładu była przykrywką dla pracujących w nim akowców. Tam zaczął opowiadać o Bauzugu nr 2005 i o grobach polskich oficerów. Nikt w to nie wierzył. Nawet się z niego podśmiewywano. Aż do marca 1943 r. Wtedy w prasie niemieckiej gruchnęła wieść o mordach dokonanych przez NKWD w Kozich Głowach. Władysław Kaczmarek zaczęto traktować z powagą, rozmawiać z nim. Któregoś dnia z Warszawy przyjechał Henryk Okińczyc „Bil”, dowódca II Rejonu Celków AK. Towarzyszyło mu dwóch nieznanym mężczyznom. Udali się do nieodległego lasu i poprosili Teofila, by opowiedział im wszystko. Świadek narysował nawet plan Lasu Katyńskiego.

Z bliżej nieznanym powodów Teofil znów musiał zmienić nazwisko. Odtąd nazywał się Teofil Rubasiński. To uratowało mu życie. Kiedy w 1944 r. przyszli Sowietci, NKWD natych-

miast rozpoczęło poszukiwanie i wywożenie potencjalnych „wrogów” nowej władzy. Rubasiński natknął się na nich w domu narzeczonej. Nie wiedząc, o co chodzi, pomagał funkcjonariuszowi o azjatyckich rysach w znalezieniu swojego aktualnego trzeciego nazwiska na liście osób przeznaczonych do wywózki. Nazwisko Kaczmarek figurowało na niej, Rubasiński – nie.

Teofil jako ochotnik zgłosił się do II Armii Wojska Polskiego, ale najpierw musiał przejść przez siedzibę NKWD przy ul. Skaryszewskiej w Warszawie. Życzliwi ludzie poradzili mu, żeby nie przyznawał się do tego, że był w AK. Po ukończeniu szkoły podchorążych w Lublinie został dowódcą plutonu w 7. Kompanii 5. Dywizji Piechoty w randze podporucznika. Szlak bojowy zakończył w maju 1945 w czeskich Litomierzycach. Z LWP wyszedł z honorami w końcu 1945 r.

W PRL o Katyniu mówił sporadycznie, na ogół przy okazji towarzyskich spotkań, na których był alkohol. Pod koniec lat osiemdziesiątych zaczął głośno mówić o swoich przeżyciach. W 1989 r. zgłosił się nawet do redakcji „Wprost” z propozycją opowiedzenia swojej historii, ale „nie chcieli słuchać tych bzdur”. Pierwszym, który się nią zainteresował, był redaktor Adamczewski z „Głosu Wielkopolskiego”. Po jego artykule do Rubasińskiego zaczęły ustawiać się kolejki zainteresowanych, w tym wdowy po robotnikach, którzy zginęli podczas sowieckich nalotów bombowych na Bauzug nr 2005. W latach dziewięćdziesiątych Stowarzyszenie Katyń z Poznania nawiązało kontakt z żyjącym jeszcze wtedy inż. Zaunerem. Przez jakiś czas obaj członkowie pociągu remontowego Bauzug nr 2005 korespondowali ze sobą. Niedawno Teofil Rubasiński otrzymał od Stowarzyszenia Katyń z Poznania medal „Za utrwalenie pamięci – Charków, Katyń, Miednoje, Sybir”.


PRZYSTANEK HISTORIA 

 **INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ**

**Wystawy
Filmy
Wykłady
Spotkania
Gry historyczne**

**Czytelnia
Księgarnia**

Wstęp wolny
pn-pt 11:00-18:00
so 09:00-14:00



ul. Marszałkowska 21/25
00-628 Warszawa
tel. 022 576 30 01
www.ipn.gov.pl

dojazd tramwajami 4, 10, 14, 18, 36